



SOUNDREBELS

DeVore Fidelity Gibbon 3XL



Opinia 1

Nie od dziś wiadomo, że w Hi-Fi i High-Endzie wyścig zbrojeń dotyczy zarówno coraz bardziej „kosmicznych” technologii, jak i nomenklatury, czyli niesamowitej inwencji marketingowców w wynajdowywaniu nazw podkreślających już nie li tylko wyjątkowość, co wręcz „zajebistość” konkretnych konstrukcji. Nikogo już nie dziwią odwołania do skandynawskich, greckich i rzymskich mitologii, astronomii a nawet wszelakiej maści „-ory” i „-axxy”. Doszło nawet do tego, że przeglądając czołówki rankingów można, oczywiście pół żartem pół serio, zacząć się zastanawiać, czy to dalej któryś z nobliwych magazynów o tematyce audio, czy też obsada wysokobudżetowego filmu dla dorosłych. Są jednak marki, którym najwyraźniej sódówka jeszcze nie zdążyła uderzyć do głowy i do tego co robią podchodzą z odpowiednim dystansem, na wrodzonym luzie. W ramach przykładu posłużę się amerykańską i jeszcze niezbyt u nas popularną, manufakturą DeVore Fidelity, której założyciel John DeVore postawił na zdecydowanie mniej patetyczne, pochodzące z fauny inspiracje. Zamiast jednak groźnych kotów drapieżnych, niedźwiedzi i innych jadowitych gadów swoje dwie linie produktowe zadedykował ... człekokształtnym, czyli dwóm gatunkom małp – gibbonom i orangutanom. O ile jednak z rodziną Orangutanów mieliśmy już okazję spotkać się podczas naszej wizyty w [katowickiej delegaturze Sound Clubu](#), oraz zeszłorocznym [AVS](#), to Gibbony przewijały się li tylko gdzieś tam w tle. Dlatego chcąc na spokojnie i bez związanej z wyjazdowym charakterem odsłuchów przypadkowości empirycznie przekonać się co tam udało się za oceanem wykombinować, dzięki uprzejmości wspomnianego dosłownie przed chwilą dystrybutora marki – warszawskiego Sound Clubu przygarnęliśmy na kilka tygodni parę filigranowych monitorów DeVore Fidelity Gibbon 3XL.





Choć John DeVore oficjalnie do życia DeVore Fidelity powołał pod koniec 2000 r., to pierwsza para Gibbonów powstała już w 1995. Oczywiście był to ewidentnie niekomercyjny i przeznaczony dla jednego z przyjaciół Johna projekt, jednak skoro założyciel marki sam o tym fakcie wspomina, to najwyraźniej coś musi być na rzeczy. I rzeczywiście było, gdyż kolokwialnie mówiąc „siedzący w branży” pan DeVore z rosnącym niezadowoleniem obserwował to, co działo się z kolumnami i w jakim kierunku zmierzało Hi-Fi w latach 90-ych. Naturalne materiały zaczęły być wypierane np. przez aluminium a umowna muzykalność przez kult hi-tech, czyli w pomiarach było zdecydowanie lepiej, za to podczas odsłuchów z reguły co najwyżej ... inaczej. Summa summarum imć John zakasał rękawy i wychodząc z nomen omen słusznego założenia, że jeśli sam tego nie zrobi to się nie doczeka, postanowił stworzyć kolumny, których słuchanie znów będzie sprawiało przyjemność.

Wbrew logice i standardowym oznaczeniom rozmiarów Gibbon 3XL nie są największymi, lecz najmniejszymi kolumnami wchodzącymi w skład linii gibbon, gdzie niepodzielnie królują trójdrożne podłogowe Gibbon X, poniżej których znajdziemy nieco ustępujące im gabarytami 2,5-drożne Super Nine i kolejne, filigranowe – już dwudrożne podłogówki 88.

Obudowy 3XL wykonano z dość rzadko spotykanego w branży audio budulca, który przez większość konsumentów uznawany jest za drewno, choć tak naprawdę jest ... trawą. Oczywiście chodzi o bambus, czyli trawę o drewniejącej łodydze, a fronty i ściany tylne to z kolei autorski kompozyt. Zdradzając nieco więcej detali warto wspomnieć, że DeVore obudów nie wykonuje sam, lecz zamawia je, w również zlokalizowanej na nowojorskim Brooklynie, stolarni Box Furniture Company a do wewnętrznego okablowania używa przewodów ze srebrzonej miedzi. Celulozowy 5.5" (140mm) przetwornik średnio-niskotonowy pochodzi od SEASA a 19 mm tekstylna kopułka wysokotonowa to zdecydowanie bardziej tajemniczy projekt niemieckiej manufaktury Dr. Kurt Müller GmbH & Co. KG. Na ścianie tylnej umieszczono wylot kanału bas refleks i pojedyncze, nad wyraz solidne terminale głośnikowe. W komplecie znajdziemy również stosowne, przykrywające niemalże całe fronty tekstylne maskownice.

Jak sami Państwo doskonale wiecie, nieumiejętnie zaimplementowane nawet najdoskonalsze przetworniki będą w najlepszym razie cieniem samych siebie, a w najgorszym totalną porażką. Jednak w przypadku Gibbonów sytuacja wygląda zdecydowanie ciekawiej, gdyż po ich wpięciu w tor praktycznie od pierwszych dźwięków zagadnienia natury technicznej i to, co z czego, oraz po co zostało zrobione nie tyle schodzą na dalszy plan, co ewidentnie przestają się liczyć. Zamiast bowiem analizować zaczynamy docierające do nas, już nie dźwięki a muzykę po prostu absorbować, czyli zaczynamy jej słuchać i to słuchać głównie dla przyjemności.

Tak, tak drodzy Państwo. Nawet mając na uwadze reprezentowany przeze mnie recenzencki punkt widzenia i starając się je traktować jako kolejny obiekt testu każdorazowo łąpałem się na tym, że ilekroć zabierałem się za krytyczne odsłuchy to i tak i tak kończyło się prawdziwą muzyczną ucztą. Za taki stan rzeczy odpowiada przede wszystkim ich ... pozorna ułomność, która de facto okazuje się najistotniejszą i niezaprzeczalną zaletą, czyli ... ewidentny brak neutralności i analityczności. Zaskakujące i sprzeczne z ideą Hi-Fi, czyli „wysokiej wierności odtwarzania”? Otóż nic bardziej mylnego, gdyż tak jak już zdążyłem nadmienić Gibbony nie dokonują analizy reproduktowanego materiału, lecz skupiają się na jego syntezie a zamiast neutralności i laboratoryjnej, antyseptycznej transparentności stawiają na naturalność i homogeniczną organiczność przekazu. Z czymś się taka charakterystyka Państwu kojarzy? Ano właśnie, przecież jeszcze jakiś czas temu za podobnie grające uznawano klasyczne, skupione wokół studiów nagraniowych brytyjskiej BBC i nadal, w mniejszym, bądź większym stopniu kultywujące chlubną tradycję monitory Grahama, Harbetha, Rogersa, Spendora etc. Można wręcz uznać, iż te amerykańskie kolumny oferują tak klasycznie europejskie brzmienie, że z powodzeniem mogłyby starać się o rekomendację wspomnianej rozgłośni, gdyż przynajmniej pod względem stereotypowych skojarzeń, Gibbony grają zdecydowanie bliżej umownego wzorca aniżeli ich sławni „radiowi” konkurenci. W sposób oczywisty faworyzowana jest bowiem średnica a zarówno dolny, jak i górny skraj pasma, choć jak najbardziej obecne, stanowią jedynie jej uzupełnienie. Nie oznacza to jednak, że basu i wysokich jest jak na lekarstwo, bo wcale tak nie jest, lecz ich egzystencja została w sposób całkowicie czytelny podporządkowana głównemu graczowi – właśnie średnicy. Używając bardzo mocnego skrótu myślowego i odwołując się do wspomnień naszych nieco starszych czytelników, jako punktu odniesienia użyłbym w większości przypadków niepodrabialną i wyjątkową eufonię brzmienia dawnych, lampowych (z magicznym zielonym oczkiem) radioodbiorników w stylu Telefunkena Concertino 53 czy Dacapo. Oldschool i vintage? Niekoniecznie. Czysta przyjemność i kwintesencja muzykalności? Jak najbardziej. Nie chcąc jednak już na początku „drukować meczu” zamiast szeroko rozumianej wokalistyki sięgnąłem po bądź co bądź wcale nie taki mały skład Duke Ellington & His Orchestra i niezwykle klimatyczny album „Afro Bossa” a następnie, zachęcony rezultatami, po nieco bardziej współczesny, koncertowy „Charlie Watts Meets The Danish Radio Big Band”. W obu przypadkach, przynajmniej teoretycznie, mając na uwadze moje wcześniejsze uwagi o li tylko niemalże symbolicznej roli najwyższych składowych można byłoby się spodziewać przysłowiowego koca i wycofania partii dęciaków oraz wszelakiej maści perkusjonaliów a tymczasem wszystko rozgrywane się powyżej średnicy było idealnie z nią zszyte i oczywiście na swoim miejscu. Zmiany

dotyczyły jedynie aspektu barw, które tym razem zostały nieco przygaszone i rozdzielczości – precyzji w odcieciu konturów źródeł pozornych od aksamitnego, smolisto czarnego tła. Co ciekawe ów zabieg bynajmniej nie wpłynął na głębokość i szerokość sceny dźwiękowej, która okazała się zaskakująco obszerna a jedynie na jej napowietrzenie. Drobnej redukcji uległy bowiem oddech i wymiar wysokości.

Jeśli zaś chodzi o samą średnicę, to napisać o niej, że jest dobrze, jest jak określić Monicę Bellucci i Cindy Crawford (za czasów ich największej świetności) mianem „niebrzydkich”. Najdelikatniej bowiem rzecz ujmując i siląc się na możliwą w tym momencie zachowawczość uczciwie trzeba przyznać, iż na miano zjawiskowej, niezwykle homogenicznej i organicznej zasługuje bezapelacyjnie. To, co dzieje się z namacalnością wokali (posłuchajcie tylko „Harlem Blues” z albumu „MO’ BETTER BLUES” Branforda Marsalisa i Terence’a Blancharda), czy sugestywnością saksofonów i fagotów wymyka się jakimkolwiek ocenom na tym pułapie cenowym. Czuć magiczną analogowość i nasycenie jakimi czarowały stare, dobre, doskonale pamiętające czasy Franco Serblina Sonus fabery. To takie samo spojrzenie na zagadnienie muzykalności, gdzie linia melodyczna i barwy grają pierwsze skrzypce, priorytetem jest hedonistyczna przyjemność odbiorcy a cała reszta stanowi jedynie niezwykle misterny bukiet przypraw sprawiających, iż całość obieramy jako coś skończonego i ewidentnie sprawiającego naszym zmysłom rozkosz.

Na sam koniec zostawiłem najniższe składowe, po których, biorąc od uwagę same gabaryty kolumn, jak i moje wcześniejsze uwagi trudno spodziewać się iście infradźwiękowych pomruków, czy też wgniatającej w fotel ściany dźwięku. W zamian za to otrzymujemy krągły i zarazem dobrze kontrolowany wyższy bas z łagodnym spadkiem tam, gdzie fizyczne możliwości mid-wooferska się po prostu kończą. Całe szczęście nawet podczas odsłuchu soundtracku z „Gladiatora” zamiast niedosytu pojawia się coś na kształt zrozumienia dla zaproponowanego przez producenta kompromisu, gdzie po pierwsze jakość przekładana jest ponad ilość, a po drugie dba się o możliwie spójny i niewysilony przekaz.

Jak mam nadzieję jasno z powyższego tekstu wynika DeVore Fidelity Gibbon 3XL mają jasno określoną sygnaturę brzmienia a tym samym nie starają się przypodobać wszystkim i na każdym repertuarze. Jednak jeśli do tematu nie podejmiemy zbyt restrykcyjnie bardzo szybko okaże się, że nawet twórczość Dream Theater nie powinna być im straszna, a że metalowa progresywność niejako mimochodem i przy okazji nabierze pewnego wysublimowania to już zupełnie inna sprawa. Jeśli zatem poszukujecie Państwo w muzyce ukojenia i odskoczni od codziennego wyścigu szczurów a dziwnym zbiegiem okoliczności Wasz system został ustawiony w niezbyt dużym (tak do 20 metrów kwadratowych) pomieszczeniu choćby z czystej ciekawości powinniście na tytułowe, amerykańskie kolumny rzucić nie tylko okiem, ale i uchem.

Marcin Olszewski

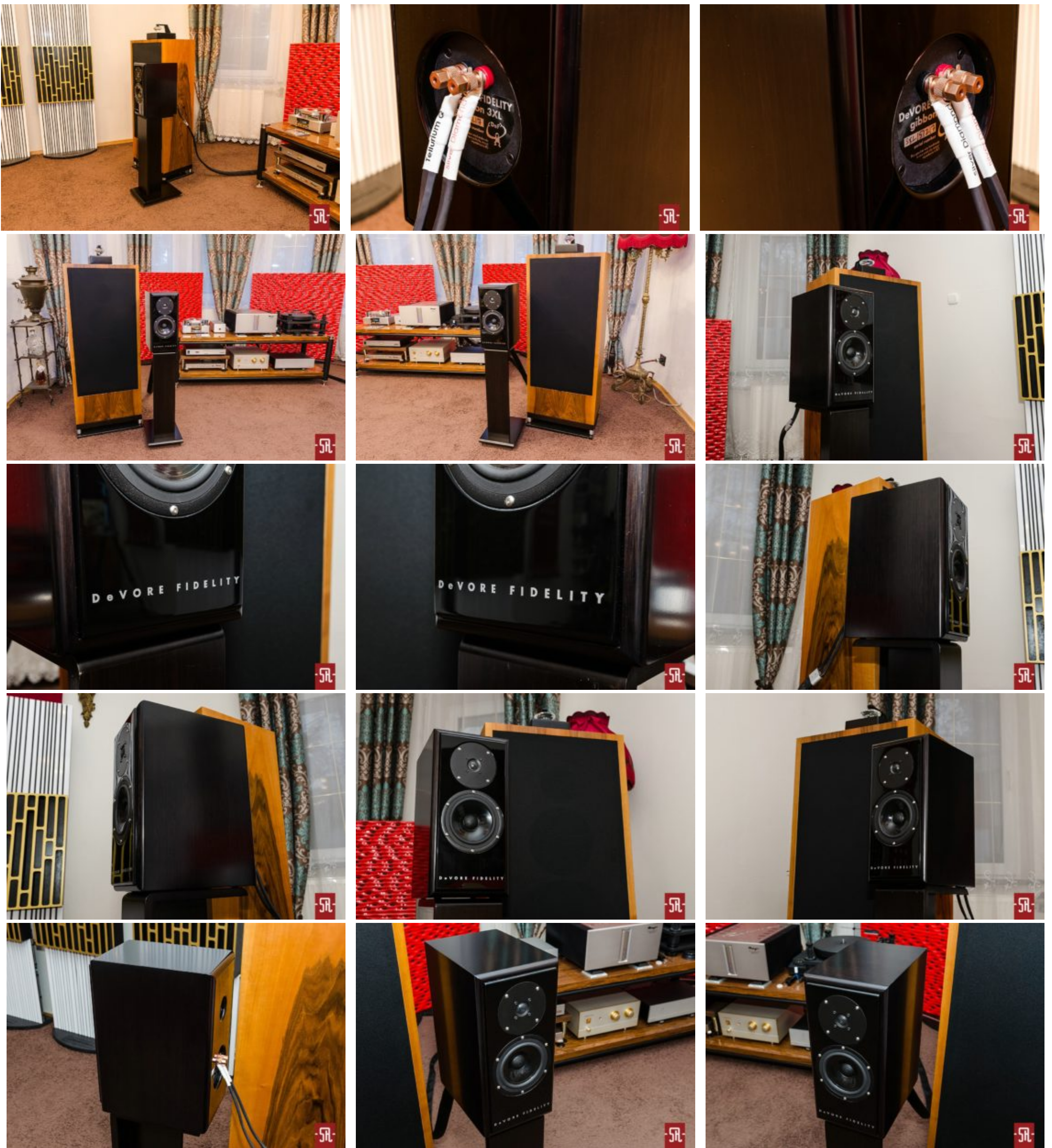
System wykorzystany podczas testu:

- CD/DAC: Ayon CD-35
- Odtwarzacz plików: laptop Lenovo Z70-80 i7/16GB RAM/240GB SSD + JRiver Media Center 22 + TIDAL HiFi + JPLAY; Yamaha WXAD-10
- Selektor źródeł cyfrowych: Audio Authority 1177
- Gramofon: Kuzma Stabi S + Kuzma Stogi + Shelter 201
- Przedwzmacniacz gramofonowy: Tellurium Q Iridium MM/MC Phono Pre Amp; Phasemation EA-500
- Wzmacniacz zintegrowany: Electrocompaniet EC15
- Końcówka mocy: Bryston 4B³
- Kolumny: Gauder Akustik Arcona 80 + spike extenders; System Audio Pandion 5
- IC RCA: Tellurium Q Silver Diamond
- IC XLR: LessLoss Anchorwave; Organic Audio; Amare Musica
- IC cyfrowe: Fadel art DigiLitz; Harmonic Technology Cyberlink Copper; Apogee Wyde Eye; Monster Cable Interlink LightSpeed 200
- Kable USB: Wireworld Starlight; Goldenote Firenze Silver
- Kable głośnikowe: Organic Audio; Signal Projects Hydra
- Kable zasilające: Furutech FP-3TS762 / FI-28R / FI-E38R; Organic Audio Power; Acoustic Zen Gargantua II; Furutech Nanoflux Power NCF
- Listwa: Furutech e-TP60ER + Furutech FP-3TS762 / Fi-50 NCF(R) /FI-50M NCF(R)
- Gniazdo zasilające ściennie: Furutech FT-SWS(R)
- Platforma antywibracyjna: Franc Audio Accessories Wood Block Slim Platform
- Przewody ethernet: Neyton CAT7+
- Stolik: Rogoz Audio 4SM3
- Akcesoria: Sevenrods Dust-caps; Furutech CF-080 Damping Ring; Albat Revolution Loudspeaker Chips

Opinia 2

Przyznam szczerze, że jeszcze rok temu usłyszawszy od któregoś dystrybutorów, iż chciałby zaproponować do testu monitory, biorąc pod uwagę kubaturę mojego pomieszczenia, już podczas wstępnych rozmów tak kreowałem naszą konwersację, aby gdzieś podprogowo zepchnąć ten pomysł w czeluści niespełnienia. Oczywiście nie była to żadna złośliwość, tylko obawa przed spektakularną porażką takiego przedsięwzięcia. Jednak jak to w życiu bywa, temat odsłuchu podobnych konstrukcji kilkakrotnie okazał się niemożliwy do odbicia i koniec końców paru minimalistycznym konstrukcjom udało się zagościć na naszych łamach. Czy tego żałuję? Naturalnie, że nie, gdyż dzięki temu nauczyłem się, jak spojrzeć na dany produkt przez pryzmat mierzenia sił na zamiary. I gdy pierwsze starcia, choć starałem się jak mogłem, można było obciążyć pewnymi brakami doświadczenia, to z pochodzącymi z USA malutkimi monitorami DeVore Fidelity Gibbon 3XL podobnych niedociągnięć być już nie powinno. Może są to dość odważne i rzadko padające z moich ust deklaracje, lecz jeśli jednak choćby w minimalnym stopniu Was zaintrygowały, to serdecznie zapraszam na kilka akapitów o zadziwiająco ciekawie wypadających tytułowych maluchach, które w mojej samotni zagościły dzięki dystrybutorowi marki – stołecznemu Sound Clubowi.





Jak prezentują się wspomniane Gibbonki? Pewnie się zdziwicie, ale odwrotnie proporcjonalnie do będącej wyznacznikiem rozmiarówki, solidnego w kwestii wielkości przedstawiciela homo sapiens specyfikacji „3XL”, czyli nie są to monitory pokroju stosunkowo niedawno opiniowanych **Spendorów SP100R2**, tylko mniejsze niż ostatnio recenzowane duńskie pchełki **System Audio**. Jednak myliłby się ten, kto sądziłby, że to jest już przesada, gdyż coś tak niewielkiego nie ma prawa pokazać się od ciekawej strony. Pozostawiając jednak obronę tej tezy na dalszą część naszego spotkania spieszę przywołać inne bardzo ciekawe od strony konstrukcyjnej fakty, z których najważniejszym wydaje się być materiał wykorzystany do wykonania obudów, czyli w tym przypadku mogący pochwalić się przynależnością do rodziny traw pospolity bambus. Tak, tak, nasze Gibbonki w głównej mierze, czyli wszystkie ścianki boczne wespół z dolną i górną wykonano z bambusa, a jedynym akcentem nowoczesności są wykonane z konglomeratu front i plecy. Banał? Nie sądzę, gdyż nie od dzisiaj wiadomo, że materiał obudowy kolumny zazwyczaj ma bardzo wiele do powiedzenia w jej końcowym efekcie sonicznym, co w dalszej części tekstu postaram się może nie na siłę udowodnić, ale z pewnością nieco przybliżyć.

Przechodząc do bardziej szczegółowych danych na temat 3XL-elek ważną wydaje się być informacja, iż mamy do czynienia ze wspomaganymi bas-refleksem konstrukcjami dwudrożnymi. Pierwszy temat potwierdzają uzbrojone w stosowny port plecy, a drugi ewidentnie unaocznia ubrany w dwa przetworniki front. Wieńcząc serię faktów na temat naszych bohaterek należy przywołać jeszcze lekko zagłębione na tylnym panelu gniazdo z terminalami przyłączeniowymi i będące w pakiecie startowym skromne bo skromne, ale nadające całości elegancji czarne maskownice. Ostatnim, ale patrząc od strony ważności podczas generowania dźwięku bardzo ważnym akcentem opisywanych kolumn są co prawda dostarczane za dodatkową opłatą, ale idealnie współgrające z koncepcją tak wizualną poprzez powielanie krągłości skrzynek, jak i z dużą dozą pewności soniczną firmowe standy.

Prawdopodobnie Was zaskoczę, ale tak dobrze sprawujących się w domenie ogólnego odbioru, w porównaniu do moich ISIS-ów, malutkich kolumniłek jeszcze u siebie nie gościłem. Owszem, to jest propozycja dla bardzo świadomych własnych oczekiwań i posiadanego metrażu melomanów, ale o dziwo nawet w moim, wydawałoby się istnym lofcie, dla takich konstrukcji przez cały okres testu nie mogłem złapać Gibbonów 3XL na jakichkolwiek potknięciach. Ale proszę tylko dobre zrozumieć, o co mi chodzi. Nie twierdzę, że jest to dla każdego Święty Graal, tylko wzięwszy pod uwagę zakładane już podczas projektowania konstrukcji możliwości obsługi niezbyt dużego pomieszczenia prezentacja wykreowanego w moim pokoju spektaklu muzycznego opiewała w same pozytywne doznania. I nie chodzi mi w tym momencie o siłowe pisanie laurki, tylko pokazanie, że gdy odetniemy się od oczekiwania niemożliwego do wyprodukowania przez te maluchy niskiego basu, reszta pasma akustycznego jest w stanie pokazać nam, jak powinno się stroić stawiające na emocje w muzyce jazzowej, wokalne, czy dawnej zespoły głośnikowe. To jest nastawione na piękne zszycie czarującej średnicy z unikającymi specjalnego rozgłosu, ale potrafiącymi pokazać wspaniałą świeżość wydarzenia muzycznego wysokimi tonami granie. Powiem więcej. Kilkukrotnie złapałem się na obserwacji nieco lepiej oddanego niż mam na co dzień pakietu danych o brylujących w centralnym paśmie instrumentach typu kontrabas, gitary, czy instrumenty drewniane. Jak zatem wyglądało to na konkretnych przykładach płytowych? Na początek muzyka sakralna w wykonaniu Johna Pottera z grupą The Dowland Project w kompilacji „Care-charming sleep”. Rozmach w oddaniu kubatury goszczącej muzyków budowli kościelnej bez specjalnego wysilania pokładów wyobraźni pozwalała poczuć panujące podczas nagrywania tego materiału realia. A gdy do tego dodam fantastycznie zaśpiewane przy akompaniamencie instrumentów z epoki frazy wokalne, okaże się, że dzięki tym, wydawałoby się pozbawionym szans na wygenerowanie ściany dźwięku, kolumnom na luzie jesteśmy w stanie co prawda w skali mikro, ale nauszenie zaliczyć prawdziwy koncert w kościele. Mało? Proszę bardzo, podobnych spostrzeżeń mam całą masę i z łatwością je skreślę. I nie będę w tym momencie lał wody na młyn podobną temu, stylowi muzyką Jordi Savalla „El Cant de la Sibil.La” – podobny repertuar i realia muzyczne, tylko szybkim krokiem przeskoczę do muzyki jazzowej spod znaku Adama Bałdycha i jego ostatniego krążka „Brothers”. Dlaczego akurat ta pozycja? To proste, gdyż najważniejszym w tym wydarzeniu muzycznym instrumentem są skrzypce, które dzięki swobodzie kreowania fantastycznych realiów dźwiękowych w zakresie ich pracy przez opiniowane kolumny wypadły nad wyraz emocjonująco. Ale, ale, nie samymi skrzypcami meloman żyje i chcę w tym momencie dodać, że może nie z takim monumentalizmem jak potrafią zrobić to moje Austriaczki, ale pięknym wybrzmiewaniem potrafił zaskoczyć mnie fortepian, jak również unikające wychodzenia przed szereg, jednak w pełni błyszczące blachy perkusisty. Tylko żebyśmy się dobrze zrozumieli, przez cały czas opisywane tytuły przepuszczamy przez odpowiedni filtr uznający najniższy bas za symboliczny. W innym wypadku cały mój trud w pokazaniu piękna tytułowych maleństw pójdzie na marne. Dlaczego przypominam o wzięciu poprawki na najniższe składowe? Na ile się da, chcę być w stosunku do Was w porządku. I żeby podkreślić swoją solidność na koniec przywołam repertuar, w którym Gibbony z założenia nie mają najmniejszych szans, gdyż na szczęście w odróżnieniu od konkurencji nie próbują udowodniać, że dźwiękowo są większe niż wskazują na to ich gabaryty i nie pompują bliżej niezidentyfikowanego pomruku przez niektórych zwanym basem. Po prostu dochodzą do pewnej, pozwalającej zaprezentować bardzo dobry wynik soniczny częstotliwości i szlus. Nie walczą o czeluści najniższych rejestrów skupiając się na jak najlepszym pokazaniu świata w swoim zasięgu, co muzykę elektroniczną z jej sztucznymi sejsmicznymi tąpnięciami skazuje na słuchanie jej w tych frazach jako swoistej ciszy. Naturalnie nie oznacza to całkowitej eliminacji podobnych zasobów muzycznych, ale musimy zadowolić się pewnego rodzaju kompromisem. Ale co ważne, tam gdzie są w stanie pokazać swoje „ja” wiele konstrukcji może mieć problemy z ich dogonieniem.

Zaskoczeni, że mimo dla wielu audiofilów już startowych wad (brak najniższych rejestrów) powyższy tekst jest pieśnią o fantastyczności konstrukcji? Jeśli tak, nie będę kruszył o to kopii, gdyż sam przed testem kreowałem podobne przewidywania. Ale jak wspominałem, po odfiltrowaniu założonych przez pomysłodawców nieosiągalnych poziomów częstotliwościowych temat odbioru tytułowych kolumn od pierwszych fraz kieruje nas w stronę wydawałoby się zarezerwowanego dla angielskiej szkoły brzmienia monitorów radia BBC. Błuznię? Bynajmniej. Niestety jedyną możliwością skonfrontowania moich spostrzeżeń jest osobiste spotkanie na własnym podwórku, ale jeśli choć trochę mi ufacie, zapewniam, że mimo braku rodowodu wspomnianej przed momentem rozgłośni radiowej, małe DeVore Fidelity Gibbon 3XL idą prawie identyczną drogą. To zaś udowadnia, iż nie trzeba być namaszczone, aby tak mocno przekonać do siebie wychowanego na Harbethach melomana. Wystarczy wiedzieć, co w duszy gra, co nasze bohaterki bez problemu udowadniały od samego początku testu.

Jacek Pazio

Dystrybucja: **Sound Club**

Cena:

DeVore Fidelity Gibbon 3XL: 18 000 PLN

Standy: 3 000 PLN

Dane techniczne

Pasma przenoszenia: 45 Hz – 40 kHz

Skuteczność: 90 dB/2.83V/m

Impedancja: 8 Ω

Wymiary (W x S x G): 387 x 186 x 276 mm

Waga: 8.2 kg

Dostępne warianty wykończenia: Cherry Bamboo, Mahogany Bamboo, Mink Bamboo

System wykorzystywany w teście:

– źródło: transport CEC TL 0 3.0, przetwornik D/A Reimyo DAP – 999 EX Limited TOKU

– przedwzmacniacz liniowy: Robert Koda Takumi K-15

– końcówka mocy: Reimyo KAP – 777

Kolumny: Trenner & Friedl “ISIS”

Kable głośnikowe: Tellurium Q Silver Diamond

IC RCA: Hijri „Milon”,

XLR: Tellurium Q Silver Diamond

IC cyfrowy: Harmonix HS 102

Kable zasilające: Harmonix X-DC 350M2R Improved Version, Furutech NanoFlux NCF Furutech DPS-4 + FI-E50 NCF(R)/ FI-50(R), Hijiri Nagomi

Stolik: SOLID BASE VI

Akcesoria:

– antywibracyjne: Harmonix TU 505EX MK II, Stillpoints ULTRA SS, Stillpoints ULTRA MINI

– platforma antywibracyjna SOLID TECH

– zasilające: Harmonix AC Enacom Improved for 100-240V

– akustyczne: Harmonix Room Tuning Mini Disk RFA-80i

– listwa sieciowa: POWER BASE HIGH END

Tor analogowy:

– gramofon:

napęd: SME 30/2

ramię: SME V

wkładka: MIYAJIMA MADAKE

przedwzmacniacz gramofonowy: RCM THERIAA

Link do tekstu: [DeVore Fidelity Gibbon 3XL](#)